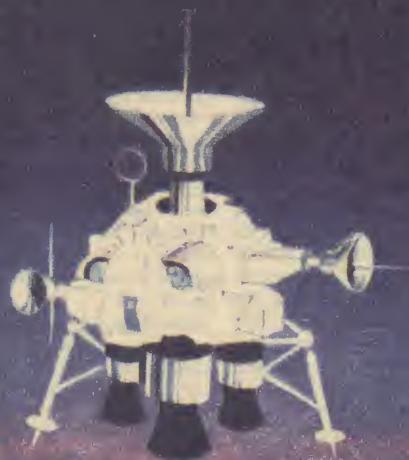


NOWA ZIEMIA



Napisał: Andrzej Stolf

Ilustrował: Ciesław Rożyn

Było ich trzech: Don, Ion i Non. Stanowili załogę statku zmierzającego w kierunku układu planetarnego, w którym spodziewano się znaleźć warunki sprzyjające powstaniu i rozwojowi życia. Ich zadaniem było odpowiedzieć na pytanie, czy występują tam warunki sprzyjające procesowi kolonizacji, na planecie obiegającej obce słońce będzie można stworzyć nową Ziemię.

Kiedy skończyła się faza hamowania i z szybkości podróży statek przeszedł na szybkość eksploracyjną, obowiązującą w obszarze układu planetarnego, rozpoczęli badania wstępne. Wyziębione planety: szósta, piąta i czwarta nie wzbudziły ich zainteresowania. Starannie zaprogramowana orbita solaryczna pozwoliła im następnie przemknąć w odległości zaledwie kilku tysięcy kilometrów od trzeciej planety układu. Widok, jaki ujrzeli, nie mógł ich zaskoczyć, gdyż już ze wstępnych obliczeń wynikało, że orbita planety przebiega na zewnątrz życiodajnej ekosfery. Mimo to z uczuciem pewnego rozczarowania oddalali się od pustego, skalistego, pokrytego kraterami globu otulonego cienką warstwą rzadkiej atmosfery i pozbawionego zupełnie pola magnetycznego.

Rozczarowanie wiązało się z niepokojem wynikającym z poznania faktu, że pierwsza planeta układu okrążała zbyt blisko gwiazdę centralną, by mogły na niej istnieć warunki znośne dla jakichkolwiek form życia. Pozostawała więc jedynie druga planeta. Gdyby i ona zawiodła, nadzieje astronautów i tych, którzy ich wysłali z misją znalezienia nowej Ziemi, wyprawa okazałaby się chybiona, a ich trud poszedłby na marne. Minęły już bowiem bezpowrotnie czasy romantycznej pogoni za kosmicznym horyzontem i we wszystkich poczynaniach obowiązywała niewzruszona hierarchia celów. Każde niepowodzenie mogło spowodować zaniechanie poszukiwań w całym sektorze Galaktyki uznanym za mało obiecujący. Dla pilotów natomiast niepowodzenie wyprawy mogło oznaczać wyłączenie z dalszych badań albo skierowanie na zupełnie nieatrakcyjne trasy eksploatacyjne, wiążące ze sobą już zagospodarowane układy planetarne, jak gdy-

by to oni ponosili odpowiedzialność za brak w przyrodzie tego, czego coraz więcej potrzebowała cywilizacja, która uczyniła Kosmos terenem swojej ekspansji.

Ale oto już oczekiwana z takim niepokojem planeta rozkwitała przed nimi na czarnym firmamencie jak wielobarwny kwiat – coraz większa i jaśniejsza, coraz bardziej kolorowa, otoczona atmosferyczną poświatą...

Statek wszedł na orbitę parkingową i okrążył planetę trzykrotnie, nim wybrali miejsce do lądowania i zeszli w atmosferę. Powierzili rolę przewodnika i pilota komputerowi pokładowemu, włączyli automatyczny system bezpiecznego lądowania i czekali w fotelach, przytłoczeni deceleracją, i myśleli z niecierpliwością o chwili, gdy wreszcie staną na powierzchni planety.

Wizg silników umilkł nagle i jeszcze podczas ledwie wyczuwalnego kołysania amortyzatorów zapalił się sygnał lądowania. Zrywając pasy rzucili się natychmiast do iluminatorów i przez chwilę w radosnym milczeniu patrzyli, jeszcze z niedowierzaniem, na falujące leniwie morze agresywnie zielonej roślinności, pośród której osiadła ich rakieta. Później, bijąc się nawzajem po ramionach i wydając dzikie okrzyki radości, biegali od jednego iluminatora do drugiego, jakby chcąc sprawdzić, czy poprzedni widok nie jest złudzeniem. Ale we wszystkie strony rozciągała się ta sama obcoplanetarna „łaka” i tylko bliżej kadłuba statku widoczne były ślady spaleniźny po pracy silników hamujących.

Tymczasem trwało automatyczne badanie orientacyjne i na ekranie pojawiały się kolejne wyniki analizy atmosfery.

– Nie do wiary, toż to prawie Ziemia, druga Ziemia. – Don był wyraźnie podniecony. – Można spokojnie oddychać tutejszą atmosferą.

Ion pierwszy skierował się do przedziału wyposażeniowego. Porozumieli się błyskawicznie co do sposobu postępowania. Nie przekazali na razie do Bazy wiadomości o lądowaniu. Chcąc wywołać odpowiednio wielkie wrażenie, postanowili bowiem poczekać aż do momentu zebrania podstawowych wiadomości na temat środowiska naturalnego planet.

A zebrać je było można jedynie w bezpośredniej eksploracji. Pośpiesznie ubierali się w lekkie kombinezony, pomagali sobie wzajemnie w zakładaniu na ramiona plecaków ze sprzętem badawczym.

Minęło zaledwie kilkanaście minut od chwili lądowania, a oni już zjeżdżali burtową windą na powierzchnię planety, uruchomiwszy na pokładzie automatyczny system kontroli otoczenia i łączności planetarnej. Później stali przez chwilę u podnóża rakiety, jakby w trwożnym zdumieniu, że oto tak łatwo dotarli do celu. Zastanawiając się, jaki obrać kierunek marszu, postanowili, że, aby jak najszybciej zebrać jak najwięcej istotnych informacji mogących zainteresować bazę, rozdzieli się i spenetrują teren oddzielnie. Sprawdzili więc indywidualne systemy łączności pracujące za pośrednictwem automatycznej centrali statku i rozeszli się.

Już odchodząc Non krzyknął do kolegów, że zapomnieli zabrać Symbol, umieszczany na wszystkich odwiedzanych przez Ziemiaków planetach i innych ciałach kosmicznych – graniastolup wykonany z praktycznie niezniszczalnego stopu, a zawierający nadajnik pracujący na bateriach izotopowych. Ten znak odkrycia i własności, „stłup graniczny epoki kosmicznej” – jak go niektórzy nazywali, wysyłał sygnały w takich zakresach fal radiowych, że każdy następny gość na „odkrytej” planecie musiał prędkiej czy później je odebrać. Don uspokoił go jednak, mówiąc, że zdążą wybrać odpowiednie miejsce i ustawić Symbol później, po nadaniu pierwszego komunikatu. Ion wcale nie zareagował, gdyż najszybciej przeszedł strefę spalenizny i zanurzył się w gąszczu falujących wiotkich lodyg niepodobnych do żadnej z roślin znanych na Ziemi.

★

Ion maszerował szybko, niecierpliwie rozgarniając przed sobą lodygi. Kiedy zobaczył kres sięgającej mu do piersi kołyszącej się bezgłośnie płaszczyzny, podobnej do jakiejś niesamowitej łąki, puścił się biegiem, nie zważając na stukot źle umocowanego sprzętu w plecaku. Do zwolnienia tempa zmusił go dopiero brak tchu, ale znajdował się już wtedy

przed pokrytą czymś w rodzaju brązowego mchu kilkumetrowej wysokości skarżą, znad której wyglądał brzeg zbitych, skłębionych zarośli, intensywnie zielonych i upstrzonych koloniami różnokolorowych kwiatów o niespotykanych kształtach. Kiedy wdrapał się z niemalym trudem na skarżę, musiał chwilę odpocząć. Obejrzał się wtedy: monotonię zielonego, falującego morza przecinała jedynie srebrzysta iglica rakiety.

– Świetne miejsce na lądowisko – pomyślał. – Jeżeli planeta okaże się przydatna do kolonizacji, a na to wygląda, to już niedługo zaroi się tu od rakiet transportowych. Ciszę tej planety, właśnie ciszę, na którą żaden z nich, przyzwyczajonych do pozbawionego silniejszych bodźców akustycznych środowiska statku kosmicznego nie zwrócił uwagi, zakłóci gwar przybywających ludzi, łoskot lądujących i startujących rakiet, gwizd odrzutowych transportowców, które sprawnie przerzucą kolonistów w najdalsze zakątki globu. A więc szybciej, to przecież i od niego zależy, kiedy rozpocznie się opanowywanie tej planety...

Poprawił plecak, podłożył dłonie pod paski ramieniowe, by złagodzić bolesny nacisk i szybkim marszem skierował się ku zaroślom, które stopniowo przeradzały się w mroczną głębię puszczy. Postanowił, że nim przeprowadzi zamierzone badania, odejdzie jak najdalej od rakiety, by zebrany materiał nie ograniczał się jedynie do przypadkowego miejsca lądowania. Dokumentację fotograficzną zamierzał sporządzić w drodze powrotnej, kiedy będzie miał już jakie takie rozeznanie w tym, co typowe dla form roślinnych tej planety, a co przypadkowe.

Szedł teraz w parnym półmroku. Nad nim sklepiały się kolejne piętra roślinności. – Prawie tropik – pomyślał. Nie chciało mu się uruchamiać w tej chwili higrometru, ale czuł, że zawartość pary wodnej w powietrzu jest tu o wiele wyższa niż na otwartej przestrzeni, a także, jak przypuszczał, wyższa niż ustalona jeszcze z orbity średnia zawartość w skali planetarnej. Po oślizgłych pniach sączyły się z wolna połyskujące strużki wody. Liście – zgnióły kilka w dłoni – były grube, jakby spuchnięte, a ich miąższ nasycony wodą.



Musiał zwolnić. Nie tylko z powodu przyspieszonego rytmu pracy serca. Splątane konary, strzelające zewsząd w górę młode pędy, oplatające wszystko pnącza, gęsta ściana różnokształtnych liści – wszystko to stanowiło zapórę trudną do przebycia.

– Poradzimy z tym sobie – mruknął pod nosem odsuwając zagradzającą mu drogę gałąź, która zadziwiająco elastycznie i bez szczególnego oporu poddała się jego dłoni. Później jednak odpiął z zaczepu u pasa nóż i pomagał nim sobie w torowaniu drogi. W przyplywie fantazji szybkim ruchem odciął lodygę z kiścią olśniewająco białych kwiatów i zatknął ją w kieszeni kombinezonu. Zauważył, że okaleczone rośliny reagowały bardzo gwałtownie: więdły, usychały i odpadały od zdrowej części w ciągu kilkunastu sekund. Pomyślał wtedy o botanikach, którym nowa planeta dostarczy pracy na wiele, wiele lat.

Zarośla jakby przerzedziły się. Szedł teraz czymś w rodzaju ścieżki między rozchylającymi się na boki gałęziami i po podłożu z gnijących resztek roślinnych, które poddawało się jego butom na centymetr lub dwa. Zrobiło się też nieco jaśniej. Mógł znowu przyspieszyć. Postanowił, że po dziesięciu minutach szybkiego marszu zabierze się do pracy przed wyruszeniem w drogę powrotną do rakiety...

I w tym właśnie momencie pośliznął się, upadł i zaczął zsuwać się po pochyłości. Gładki materiał kombinezonu nie stawiał żadnego oporu, na jego drodze nie pojawił się ani jeden korzeń czy występ gruntu lub kamień. Nic, tylko mokry dywan z pożółkłych liści, po którym sunął coraz prędzej, usiłując chwytać gałęzie i pnącza. Ale te, wilgotne jak wszystko w tym lesie i niesłychanie wiotkie, wysuwały się z rąk albo rwały się gwałtownie pod ciężarem jego ciała. Zanim zdążył zadać sobie pytanie, skąd na tak równym terenie tak znaczny spadek, ścieżka skończyła się niewielkim urwiskiem. Spadł z niego do błotnego, zielonego bajora, które wessało go natychmiast. Poruszony muł zakopiał miliardami baniek gazu, mętna toń zafalowała, rozległ się stumiony bulgot, a potem lustro błotnistej mazi zastygło, rozkołysane rośliny zwały się z powrotem

w zieloną ścianę wokół stawu i wszystko zamarło w ociężałym bezruchu.

*

Non, chwytając się poskręcanych pni drzew, klucząc między korzeniami wystającymi z ziemi niczym odnóża jakichś gigantycznych pajaków, rozgarniając zarośla, wspinał się na wzgórze, z którego miał zamiar rozejrzeć się po okolicy i wybrać najciekawsze obiekty do zbadania.

Trud wspinaczki opłacił się. Ze wzgórze rozciągał się szeroki, wspaniały widok. We wszystkich kierunkach, aż po horyzont, ciągnął się bezmiar zieleni we wszelakich dających się wyobrazić odcieniach. Kiedy starannie filmował panoramę, pomyślał, że przez całą drogę nie napotkał ani jednego zwierzęcia, nie widział ani jednego ptaka czy choćby owada. Całą planetę, a przynajmniej okolicę, w której lądowali, zdawała się obejmować przedziwna i niesamowita w swym bogactwie eksplozja form roślinnych. Myśli tej nie poświęcił jednak więcej uwagi, pochłonięty podziwianiem widoku i wybieraniem najciekawszych obiektów, które chciał obejrzeć z bliska w drodze powrotnej.

Jeszcze kilka zbliżeń za pomocą teleobiektywu i schował kamerę do futerału. Spojrzał na zegarek – należało wracać. Odetchnął ze spokojem i zadowoleniem człowieka, który wykonał solidnie swoją pracę i osiągnął cel. Zarzucił plecak na ramiona i zaczął schodzić ze wzgórze. Uśmiechnął się mimowolnie do swoich myśli. Już od dawna marzył o domu, własnym domu, choćby na takim wzgórzu jak to, wśród tej fantastycznej roślinności. Na każdej planecie, którą odwiedził w swojej karierze astronauty, wyobrażał sobie dom, rodzinę, spokojne, osiadłe życie... Ale później zawsze wyruszał dalej, mówiąc sobie: to jeszcze nie tutaj. Tym razem, jeszcze przed startem przyrzekł sobie, że będzie to jego ostatnia kawalerska wyprawa. Jako współodkrywcę i pierwszy eksplorator planety otrzymałby od Urzędu Kolonizacyjnego wiele ułatwień, nie do pogardzenia w trudnym czasie.

Zatrzymał się na zboczach, by jeszcze raz rozejrzeć się po okolicy i popatrzeć na szczyt wzgórza. Po ucywilizowaniu tego zakątka mieszkałoby się tu wspaniale... Podniecony myślą o realnie bliskiej możliwości rozpoczęcia nowego życia, ruszył żywo w dół, przeskakując wystające z butwiejącej ściółki korzenie i kłaczka. Kolejny korzeń okazał się widocznie za wysoki, gdyż zawadził o niego z uczuciem, jakby ktoś podstawił mu nogę, i runął na ziemię.

Upadł na prawy bok i to tak nieszczęśliwie, że plecak utkwiał mu między skrętami korzenia, co pozbawiło go swobody ruchów. Próbowal wyzwoić się z pułapki, ale gwałtowne ruchy uwikłały go tylko w długie wici jakiegoś płożącego się zielska. Usiłował jeszcze zsunąć pasy plecaka z ramion, ale w rosnącym zdenerwowaniu trafił głową pod grubą odrośl pnia i zaczął się dusić. Tymczasem wici przybywało. Szarpiąc się ostatkiem sił splątał je w sieć o niezliczonej ilości nitek. A w chwilę później z pobliskich drzew zaczęły spadać liście z niespokojnym poszumem pokrywając wszystko żółknącą w gnieniu oka powłoką...

*

Don szedł spokojnie rozglądając się z ciekawością. Podziwiał niezwykle świat, jaki otaczał go od kilku godzin. Napięcie, jakie odczuwał zawsze podczas drogi do celu, ustąpiło teraz miejsca zadowoleniu z jego osiągnięcia. Podziwiając roślinność, której bujność i różnorodność form przekraczała wszystko, co dotychczas miał okazję w życiu widzieć, i fotografując to, co najbardziej zaskakiwało go swą niezwykłością, maszerował już bardzo długo bez najmniejszej przerwy. Dopiero drzewo wystrzelające swą koroną srebrzyście połyskujących liści ponad otoczenie przypomniało mu rakietę i kolegów, którzy podobnie jak on przedzierali się samotnie przez dziewicze obszary planety. Zmęczenie przypomniało mu o upływie czasu, więc pośpiesznie włączył aparat indywidualnego systemu łączności. Ale w ustalonym pasmie panowała absolutna cisza. Dla pewności wywoływał kolegów kilkakrotnie, a kiedy jego zabiegi nie odniosły skutku,

połączył się z centralą statku. Otrzymał sygnał: „Nie było kontaktu”. Próbowal raz jeszcze wywołać kolegów. Na próżno. Milczenie nie niepokoiło go specjalnie. Ostatecznie on także przypomniał sobie o nich dopiero przed chwilą, po kilku godzinach wędrówki. – Szok nowości, rzecz normalna – usprawiedliwił się szybko. Wylączył aparat, którego sygnał wywoławczy zakłócał spokój otoczenia i denerwował swą bezużytecznością. Złożył cały ekwipunek pod drzewem. Postanowił, że odpocznie kilkanaście minut, nim wyruszy w drogę powrotną.

Przyglądając się roślinom z bliska, zauważył, że na wielu z nich znajdowały się odrośla, które nie powinny być niczym innym jak owocami. Zerwał żółtą kulę wielkości pięści, powleczoną matową warstwą czegoś w rodzaju wosku i przeciął nożem na połowę. Pociękł mętny, czerwony sok. Powąchał. – Niczego sobie. Ciekawe, jak to smakuje – pomyślał, ale powstrzymał się przed włożeniem owocu do ust i wyciągnął z plecaka analizator toksyn.

Jednak ani ten, ani żaden z innych zerwanych owoców nie był trujący. Zatopił zęby w jednym, potem w drugim. Łykał łapczywie odgryzane kęsy. Czasami ocierał sok kąpiący mu z brody na kombinezon. Upajał się niezwykłością swojej sytuacji. Był jednym z trójki pierwszych ludzi, jacy stanęli na tej planecie i oto teraz smakował ten nowo odkryty świat w sensie dosłownym. Doznawał uczucia, że zawiera w ten sposób najściślejszy z możliwych związek z materią nowego świata, która odtąd miała już rodzić i karmić nowe pokolenia ludzi. A on był pierwszy. Czyż uczucie to nie jest wystarczającą nagrodą za trud lat spędzonych w izolacji statku kosmicznego, za poprzednie zawody? Smak owoców, których nikt przed nim jeszcze nie tknął?

Załadował kieszeń plecaka owocami, których bezpieczeństwo dla organizmu zostało sprawdzone, zarzucił ciężar z fantazją na jedno tylko ramię i ruszył w drogę powrotną. Ale po kilku zaledwie krokach zwrócił uwagę na spoczywający wśród mięszystych liści o nie spotykanych rozmiarach obły kształt dyni o kolorze tak ciemnozielonym, że w cieniu wydawał się czarny. Zrobił kilka zdjęć i podszedł bliżej.

Wtedy forma jakby ożyła. Jej powierzchnia drgnęła raz i drugi, a później rozpekła się na kilka płatów odsłaniając pęk o czerwieni tak agresywnej, że Don w pierwszej chwili musiał zmrzyć oczy. Nie był to jednak koniec przemiany. Rozpoczęło się misterium rozkwitania. W rytmicznych spazmach pęk podzielił się na płatki, które po rozwinięciu osiągnęły wysokość człowieka, tworząc konchę o zabarwionym niesamowicie środku, przechyloną lekko w jego stronę. Wnętrze konchy, pozbawione słupka i pręcików, charakterystycznych dla form kwiatowych, wysklepiło się ostatecznie i tylko cieńsze i bardziej delikatne brzegi falowały niespokojnie.

Zafascynowany niezwykłością zjawiska podszedł bliżej, a później, jak zahipnotyzowany, jeszcze bliżej i bliżej. Doświadczył go nieoczekiwane gwałtowny w tym świecie spokoju i dostojności form ruch konchy, a jej kolejne, coraz szybciej po sobie następujące skurcze zdusiły go w uścisku. Obrzeże pokryte teraz setkami zmarszczek pulsowało spazmatycznie, starając się objąć tę część jego ciała, która pozostawała jeszcze na zewnątrz. Krwisty pęk drgał nierytmicznie, jak serce podczas ataku, zmniejszając coraz bardziej swoją objętość, aż do pierwotnej wielkości. A później czerwień zniknęła znowu pod ciemnozielonymi łuskami i po chwili najdrobniejszy szczegół nie przypominał już tego, co rozegrało się w tym zakątku puszczy.

★

Zaczynało zmierzchać. Centralny chronometr pokładowy nadał sygnał końca automaty-

cznych badań najbliższego otoczenia statku. Zatrzymały się bębny taśm magnetycznych rejestrujących wyniki napływające z urządzeń badawczych. Schowały się do kadłuba wysięgniki analizatorów powietrza i gleby, czujniki aparatów sondujących, anteny radiolokatorów. Z wewnętrznego systemu komunikacyjnego pobiegły wezwania do członków załogi. Dźwięki i światła pulsowały przez jakiś czas, później rozległy się sygnały alarmowe, a ponieważ nadal nikt się nie zgłaszał, by dać komputerom nowe zadania, uruchomiony został program awaryjny automatycznego nawiązania łączności z Bazą. Otworzył się luk przedziału aparatu i na wysuniętej z niego podstawie rozwinęła się czasza anteny kierunkowej. Nim jednak komputer przetrawił dane o aktualnym wzajemnym położeniu planety i Bazy, by nadać jej właściwe położenie i rozpocząć transmisję sygnałów – teren, na którym spoczywała rakietą, zafalował. Najpierw bardzo słabo, niemal niedostrzegalnie, później mocniej, aż wreszcie zaczął rozstępować się – nie jak ziemia podczas trzęsienia, ale raczej jak zbutwiały materiał naciągnięty zbyt mocno. Rozstępując się odsłaniał coraz to nowe warstwy splecionej roślinności przypominające świeże torfowisko. Rakietą zakołysała się raz i drugi, a później z głośnym młaśnięciem zsunęła się szybko gdzieś w głąb. Zielony kożuch roślinności zwarł się nad nią i tylko przez jakiś czas teren falował miarowo.

A później nastąpiła noc i uciął nawet wiatr. Wszędzie panował absolutny bezruch i cisza i nic już nie zakłócało harmonii świata roślin.

